

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Micheleta „Historja rzymska” wydanie czwarte z nową przedmową autora. — Dyskusja prawa własności literackiej w ciele prawodawczém. — „Kopciuszek” widowisko czarodziejskie we trzydziestu obrazach. — „Gołębica” opera Gounod’a. — „Marcin Luter” dramat Léona Hatévy. — „Gringoire” komedia pana Banville. — Posiedzenie doroczne Towarzystwa Pomocy Przyjaciół Nauk — Wiadomości literackie.

W ciągu ubiegłego miesiąca, Michelet najwięcej zajmował literacką ludność Paryża. Prócz „*Ludwika XV*” ostatniego tomu „*Historji Francuzkiej*”, który to pomnikowe dzieło powiąże z „*Historją rewolucji francuzkiej*” wydał czwartą edycją swojej „*Historji Rzymskiej*” dzieła, którem przed 35 laty swój zawód dziejopisarski rozpoczął. Zdaniem wielu Francuzów, jestto najlepszy utwór Micheleta; nowe jego wydanie w Paryżu z prawdziwą powitano radością, jako rzecz oddawna pożądaną.

Książka nie zestarzała się wcale. Nauka od owego czasu zapewne znacznie postąpiła: Rzym był przedmiotem osobnych studyów; we Francyi i Niemczech nowe wyrobiły się poglądy na jego ustrój polityczny i religijny; o całości starego Rzymu obszernie napisano dzieła przez te ćwierć wieki, które nas od studyów Micheleta przedziela. On sam od owiej epoki rozwinął swoje zdolności pisarskie, wniknął w interesa moralne swojego kraju, wydał kilkanaście dużych i małych książek, które za jego zboczenie uważają, chociaż nie tak bardzo zboczył jak się zdaje pisząc *morze, owada, ptaka i rozprawę o miłości*, w naturze szukał tegoż samego czego w historii: życia i miłości, motora powszechnego, który od czasów Adama do Ludwika XIV, zapełnia ludzkie roczniki bohaterstwem i szaleństwem, całym łańcuchem stworzenia wstrząsa, od *owadu* aż do *człowieka*.

Po tylu latach *Hystorya Rzymska* Micheleta na dawnym stopniu stoi, nie jako dzieło naukowe zupełne i ostateczne, do czego nigdy nie miała pretensyi, ale jako pierwszy prawdziwy pogląd na geniusz Rzymian i rzeczywiste znaczenie jego w historyi. Jako taka, książka ta nie łatwo znajdzie zastępcę: młodzi uniwersytecka długo jeszcze w niej szukać będzie tego, co nas tam przed laty zachwycało: żywego obrazu starożytności.

W takiej odległości każdy pisarz na dzieło swoje patrzy jak na cudze. Michelet napisał nawet przedmowę, w której wytyka znalezione w książce swojej błędy i bardzo trafnie sam siebie sądzi. Chwali on bez fałszywego wstydu, swoje przynioty pisarskie, gani historyczne omyłki, które uderzyły go nie mile w nowo odczytaną pracę. „Wszystko co powiedziałem o Cezarze, fałszem jest” mówi w przedmowie. „Dlaczego? Wykłada szeroko, wolnomyslnie, po republikańsku. W nawiasach szydzi z siebie w najpocieszniejszy sposób.

Z wszystkich znakomitości francuzkich Michelet zna siebie najlepiej. Człowiek ten powodujący się na pozór fantazją, instynktem; pisarz niby wiecznie rządzony kaprysem, mało ważący słowa, w gruncie bardzo głęboko się zastanawia. Ci i owi co z radami do niego wyjeżdżają, nie mu nie zarzucają o czeźby on nie wiedział: błędy swoje i wady w przedmowie do *Historji Rzymskiej* wyrecytował od A do Z. Zna wszystkie a nie pozbywa ich się, jak mówi dla tego, że te wady *nie nabyte* ale *urodzone* są może cementem jego zalet, ma je, bo mniema, że prostować się i drapać, nie jestto poprawiać się: lepiej zostać czem nas Bóg stworzył.

„*Historja Rzymska*” Micheleta, we Francji jest pierwszą, w której bajeczne dzieje władców Rzymu postawiono na właściwem miejscu; pomiędzy legendami. Była to wtedy nowość zuchwała. Lat 20 było upłynęło wprawdzie od wydania pierwszego tomu badań Niebuhr’a, ale 20 lat, to nie wiele do zachwiania tradycyi szkolnych. To też wyszydzanie negacyi Niebuhr’a stanowiło jeszcze najmilszą zabawę profesorów Sorbony.

W chwili kiedy Michelet zaczynał swoje dzieło, Niebuhr retuszował swoją pracę, już licząc lat siedemnaście.

Jak dziś Michelet, tak on wtedy nazwał dawną publikacją utworem młodzieńczym, niedowarzoną: „Doszedłem do celu, powiada, jak lunatyk idący brzegiem dachu.” Oświecony długim pobytem w Rzymie, Niebuhr w inną formę przełał swoje historię.

Wtedy Michelet przedsięwziął zrobić także wyłom w warowni szkolnego nauczania. Chociaż daleki od przesady niektórych uczni Niebuhra, nie osiągnął jednak celu we Francji. Wyrzec się owych poważnych postaci, boskiego Romulusa, bogobojnego Numy i ich następców, była to perturbacja zbyt sroga: nie dostrzegano że na miejscu tych moralnych przypowieści, tych bajek tak pięknie rozwiniętych przez obrazowego Liwiusza, chociaż w nie nie wierzył, trysła prawda daleko poważniejsza, potęga twórcza zbiorowej wyobraźni, której wyroby są faktami z tegoż tytułu jak prawo, albo bitwa, chociaż dat i autorów oznaczyć nie łatwo. Nadto rutyniści poczuli instynktowo groźną doniosłość tej nowej prawdy, cały system był nią zachwiany... bo wszystko się trzyma: odjąć cząstkę tkaniny z której wiara usnuta, to zagrozić całości. Wyobrażenia co tak wielką gra rolę w układzie obrazów historycznych, czyż ma być niczem w utworzeniu budowy religijnej? Trzymano się Liwiusza żęły nie opuścić świętego Jana.

Nie mniej przeto Niebuhrowi filologia, nauka prawa i historia z fałszów oczyszczona, zawdzięczają wszystkie odkrycia ważne.

Jednak wyznać trzeba, że Niebuhr i Niemcy w ogóle zbyt lubują się w ciemnościach historycznych. Niebuhr w końcu III-go tomu dochodzi za ledwie do jasnego kraju i zanim wejdzie, staje. Badanie owych zimroków ćwiczy zdolność erudyty, sprzyja rozwojowi intuicji, ale ciągłego wątku opowiadania nie daje, jednostek znaczących nie uwydatnia.

Obraz, a raczej szkic owych czasów, skreślony przez Micheleta, mniej głęboki jest jaśniejszy i zrozumialszy; daje dokładne wyobrażenie srogich zapasów patrycyatu bez litości, z rozbastwionym proletaryatem. Mianowicie w opowiadaniu wojen punickich Michelet jest niezrównany! Krajobraz, rzeki, góry, ogólna fizyonomia miejsc jakkolwiek pochodem lat przeorana, pozostaje też samą w zarysach.

Michelet w księdze natury czyta biegle: ma rzadki dar odgadywania ducha z formy. Rozdziały rozpoczynające dzieło gdzie mówi o powierzchowności Rzymian, o Latium i fizjonomii Italii; przejście Pyreneów i Alp przez Annibala zdają się pędzlem nie piórem oddane.

Opis wojny Samnitów poprzedza następujący pejzaż zdjęty z natury:

...„Apeniny mają częstokroć cechę osobliwszej dzikości. Wszedłszy na szczyt spostrzegasz albo wąwoz straszny, albo jałową płaszczyznę, albo szerokie łoże kamieniste, po którym wlece się wody niteczka... albo też wzrok twój przyciąga lęk czarny, bezdenne, gdzie z głuchym łoskotem wpadają potoki.

„Zaledwie od lat 20-tu topór zaczął przerzedzać te lasy; przedtem było to schronienie trzód w najgłębszych miesiącach roku. W maju owce z prowincyi Apulia, wielkie woły z rzymskiej kampanii, opuszczały pałace równiny i szły w Abruzzo szukając trawy pod cieniem kasztanów i dębów. Uzbrojeni pasterze, kilku ubogich rybaków na wybrzeżu wulkanicznego jeziora, to cała ludność tej pustyni. Starzy Samnicy nie byli czem innem: okrutne pastuchy, nieprzyjaciele rolników z doliny, wrogi uparte wielkiego grodu Italii, podobnie nienawidzili Rzymian jak Kantony Uri i Unterwaldeu, Bernu.”

Pejzaż z Micheleta zarówno od jaskrawości jak od szaryzmy odległy, w historii nie jest częścią ozdobą ale komentarzem wypadków, tłem na którym występują szczepy: najpierw wielka rasa rolnicza i wojenna i te wszystkie które podbiła; potem bandy niewolników i obce hufce. Z łona tego tłumu wychodzą żywe figury główne, które Michelet charakteryzuje kilką wymownych rysów nie powiększając ani pomniejszając ich nigdy, wielki przymiot w tych czasach niepomysłnych Rzymianom. Płacą oni dziś drogo za swoją wiekową chwałę. Na progu naszego wieku zaczęła się reakcja przeciwko naiwnej administracyi *à la Corneille* przeciw czci bałwochwalców tych niby bohaterów patriotyzmu i bezinteresowności.

Reakcja spotężniała, odkąd miejsce historii epicznej kilku jednostek, zajęła historia ludów; odkąd zaczęto badać przedewszystkiem stan polityczny, ekonomiczny społec-

czny i religijny tych ludów. Po tém przysły historye narodowe, gdzie każdy naród mści się na Rzymianach, jako zgnieciony ich żelazem i prawami.

Najwyższy stopień téj reakcyi można dopatrzeć w dziele Mommsena. Jestto niezaprzeczenie dzieło znakomite pod względem zapasu wiedzy jaki zawiera, oraz talentu pisarskiego; jestto bogata mieszanina świeżych odkryć epigrafii, filologii, lingwistyki, ekonomii i prawodawstwa. Ale pod wpływem troski społecznej obudzonej wypadkami 1848 r., autor niektórym interesom nadal doniosłość zbytęzną. Strona ekonomiczna historyi Rzymskiej dotąd zaniedbana, tu góruje; walka bogactwa z ubóstwem, przywileju z łakomstwem, kapitału z proletaryatem, jest nie tylko węzłem, ale jedynym magnesem historyi Rzymskiej Mommsena. Nawet pojęcie pierwotnego Rzymu tą wyłącznością trąci: Rzym dla Mommsena jest zakładem handlowym, naturalnym *domem* dawnego Latium.

Od czasu Niebuhra poznaliśmy zapewne jak wielką wagę Rzymianie przywiązywali do własności, surowość z jaką jój pojęcie rozwinęli. Ale podporządkować wszystkie sprężyny pod tę jedną, zmazać wszystko co dotąd w téj historyi upatrywano, to wydać nam się przesadą niecznością.

Mommsen należy do rzędu licznych dziś we wszystkich krajach polityków *realistów*. Zawiedziony w 1848 roku, usiłuje dowieść, że postradał wszelkie złudzenia. Mommsen który za Renem uchodzi za bardzo dowcipnego, pojął, że najlepszym sposobem ożywienia starożytności, jest przerzucić tam nazwy i stronnictw tegoczesnych, rozweselić Cezarów żartami z liberałów i socyalistów nazwać Cyncerona *lichym dziennikarzem*, a Pompejusza *nie zdolnym podporucznikiem*. Tak postępując, Mommsen musi się często z prawdą mijać, tém bardziej że daje czynom pobudki zawsze nizkie, kiedy o Pompejusza chodzi, a zawsze wysokie kiedy o Cezarze mowa.

Historya rzymska jak ją Mommsen pojmuje, zdaje się cała na to tylko potrzebna, żeby doprowadzić do Cezara. Jakoż rzeczywiście, podbój ciągnie za sobą wieczyste armie, pokusę, narzędzie i podporę despotyzmu. Przeprowadzenie logiczne. Ale cóż ono na korzyść Cezara dowodzi? Jakże więc można uważać go za zbawcę i oswobodziciela? Jak

wielbić twórcę polityki „realnej” w tym, który inaugurował fałsz, co posłużył Augustowi do utorowania drogi Tyberiuszom i Domicyanom.

Taka polityka i takie rezultaty, nie warte zaprawdę, żeby im poświęcić wszelką moralność, a mając siebie za Machiawela, w rzeczywistości pozostać uczniem szkoły Talleyranda.

Też same okoliczności, z powodu których Mommsen Cezara rozgrzesza, objaśniają Micheleta i każą mu żałować pobłażania, które miał niegdyś dla świetnego wodza Rzymian. Zawsze szczerzy i szlachetny, Michelet wytyka swoje omyłki, na każdą daje nacisk i powiada dla czego. Mógł poprawić czwarte wydanie swojej historii rzymskiej, ale na co? „Od trzydziestu lat, powiada, książki moje pod wszelkiemi postaciami pracują nad poprawieniem wad *tęj historii*, nad zniszczeniem uwielbienia siły, nad wyrugowaniem starego bałwochwalstwa, które zawała drogę ludzkości i postęp *tęj* opóźnia.”

Dyskusya prawa własności literackiej w Ciele Prawodawczém ukończona. Rada Stanu przyjęła poprawki komissyi do opracowania projektu wyznaczonej. Prawo własności z lat dwudziestu posunięto do pięćdziesięciu. Interesa dwóch rodzin, Augustyna Thierry i Alfreda de Musset, przyspieszyły rozprawy i dekret. Żeby z ulepszeń mogli korzystać spadkobiercy dwóch wymienionych pisarzy, prawo musiało być uchwalone przed końcem maja. W tym czasie kończyły się prawa rodziny Augustyna Thierry; rodzina Alfreda de Musset w czerwcu je utracala; teraz jedną i drugą lat trzydzieści posiadania przybyło.

Mówcy zabierający głos w *tęj* dyskusyi Ciała Prawodawczego, oświadczyli: że orzeczone prawo nie jest ostatniem słowem prawodawców w tym przedmiocie; postęp jednak jego nad dawnym widoczny.

Terazniejsze prawo ma na celu trzy rzeczy: najpierw, przedłużając prawa autorów do pięćdziesięciu lat po ich śmierci, nadaje temuż prawu znacznie większą wartość; powtóre, nie ogranicza praw autora do wdowy i dzieci, ale rozpościera je na wszystkich spadkobierców; nakoniec

daje autorowi za życia prawo *zupełne*, rozrządzania swoją własnością.

Pojęcie rzeczywistego prawa do własności umysłowej, już weszło we wszystkie umysły. Niezgoda zachodzi jedynie kiedy idzie o to, w jakich granicach kodex ma opiekować się prawami autorów?

Są dwa punkta widzenia zupełnie sprzeczne, z których kolejno wychodzili w Izbie mówcy: jedni żądali żeby prawo uznało własność umysłową, jako mogącą się przekazywać wiecznie, jak każda inna własność; drudzy, więcej dbający o prawa społeczeństwa, sądzili że prawo tylko przez pewien przeciąg czasu może protegować własność literacką. Ci, przed spuścizną spadkobierców pisarza, postavili spuściznę ludzkości.

PP. Marie, Saint-Laurent, Jubinal przemawiali za wieczystością; deputowany Guérault żądał, żeby dzieła umysłowe stawały się własnością ogółu zaraz po śmierci autora, z zawarowaniem drobnej opłaty od nowych wydań dla spadkobierców.

Jules Simon cieszył się z absolutnego prawa nadanego pisarzom nad ich dziełami. Pan Dupont głównie się troszczył o sposoby zapewnienia autorom za życia jak największych zysków; to mając na widoku, zaproponował żeby się zawiązało Towarzystwo, rodzaj kredytu umysłowego, zaliczającego autorom fundusze do wydawania dzieł potrzebne; myśl ta godna uwagi, nie mogła się pomieścić w kodexie.

Argumentacja komissarza rządowego przeciw stronnikom wieczystości, na tém się zasadzała, że prawo autorów niema innéj zasady jak prawo. Jest w tém przesada: należy uznać, że prawo autorów prawnie ograniczone, ma swoje źródło w pracy umysłowej, która dzieło tworzy.

Jak zwykle bywa, wyrok zapadł pomiędzy dwoma ostatecznościami: prawo autora jest absolutném i służy mu przez ciąg życia; spadkobiercy używają go przez pół wieku. Po upływie tego czasu mają prawo jedynie do pewnéj należytości za przedruki lub nowe wydania, które ze swéj strony stają się własnością publiczną i mogą być przedsiębrane przez każdego bez wyjątku.

Oprócz wyż wymienionych, zasadniczych punktów, są jeszcze inne podrzędne, niemniej przeto zasługujące na wzmiankę. Tak na przykład, autor od chwili ogłoszenia swojego dzieła, przez pięć lat zachowa wyłączne prawo upoważniania do tłumaczeń; wydawca któryby wytłoczył większą ilość egzemplarzy od tej o jaką ułożył się z autorem, podpada karze oznaczonej przepisem.

Własność umysłowa prawnie uznana została za własność, ale własność odrębnego rodzaju. Dzieła geniuszu mogą stać się towarem, ale są zarazem jeszcze czemś inném, czemś więcej niż towar. Utwory myśli lub sztuki, mogą być przekazane spuścizną, ale dziedzictwo nie upoważnia spadkobiercy do używania i nadużywania; nie pozwala mu na przykład, wprowadzać zmian do dzieła lub całkiem go niszczyć. Ten ostatni wzgląd, komissya doskonale pojęła i wyraziła w następujący sposób:

„Autor przed ogłoszeniem swojego dzieła, ma prawo nieograniczenie niém rozporządzać; może nikomu go nie pokazywać lub wystawić je na widok publiczny; mnożyć wydania, bądź pod najprostszą postacią, bądź w wykwintnym kształcie; sprzedawać je za umówioną cenę, lub odstępować bezpłatnie; niszczyć, jeżeli tak mu się podoba: słowem posuwać używanie do nadużycia. Fakt ogłoszenia nie przeistacza zupełnie tego stanowiska, ale wprowadza w nie nowy żywioł, który koniecznie na wzgląd zasługuje. W chwili gdy dzieło z rąk autora przechodzi do rąk publiczności, tworzy się natychmiast interes wyższej natury. Ci wszyscy którzy powzięli wiadomość o wyrobie duchowym za pośrednictwem posiadania materialnych przedmiotów służących do objawu tegoż wyrobu, nie mogą być dowolnie pozbawieni zmysłowej rozkoszy, ani korzyści moralnej do jakich wyrób ten, źródło im otwiera. Uczucia i pojęcia jakimi ztąd się przenikają, nowe kształty jakie podpadną im pod zmysły lub wrażą się w ich pamięć, zlewają się z własnymi ich pojęciami, uczuciami lub kształtami, które przedtém już tkwiły w ich umyśle. Z tego wspólnego skarbcza mogą następnie wyradzać się inne dzieła oryginalne, do których twórczący je umysł będzie również posiadał wyłączne prawo. W tém następstwie prac, w tej kolei utworów złączonych pomiędzy sobą węzłem, którego

był jeżeli nie podpada wątpliwości, miara natomiast niepodobną jest do oznaczenia, każdy prawnie podejmuje swoją część zasług i usiłowań i każdy nawzajem, ma prawo do swej części zaszczytu i korzyści."

Co się tyczy praw spadkobierców i różnicy jaką sama natura rzeczy ustanawia pomiędzy nimi a autorem, komissya wyraża się jak następuje:

"Autor, nawet po śmierci, używa swoich praw w osobie swojego spadkobiercy. Wszelako gdy autor przestał istnieć, gdy jego bezpośredni sukcesorowie, ci którzy towarzyszyli mu w wędrówce życia, którzy byli przedmiotem jego przywiązania, również powymierali, pierwotne prawo zawsze istnieje, ale wtedy utracą osobisty swój charakter. Jednocześnie powiększają się wymogi interesu publicznego i z długiego posiadania powstaje pewien rodzaj prawa na korzyść całego społeczeństwa."

Powyższa uwaga komissyi jest bezwątpienia nader słuszna. Wszelkie prawodawstwo o własności umysłowej, powinno zasadzać się na ustępstwach, czyli na kompromisie, dla tego głównie, że własność ta może być uważaną pod dwojakim względem: że stanowi zarazem interes materialny dla autora i interes moralny dla publiczności. Z jednej strony, nie obrażając powszechnego uczucia, niepodobna wymagać żeby książka miała być własnością podobną do innej, ucierpiałaby na tém sprawa umysłowych utworów, sprawa rozwoju ducha, tém samém zaś oświaty. Z drugiej strony, nie wystawiając na szwank sumienia publicznego, nie godzi się pozbawiać autora pieniężnej zapłaty za jego pracę.

Nie dość na tém: należy tu jeszcze oznaczyć różnicę co do strony materialnej i pieniężnej, między autorem który jest twórcą i panem swojego dzieła, a wchodzącymi w prawa autorskie, którzy są tylko spadkobiercami, nie tracąc zarazem z oczu i téj różnicy, jaka istnieje między dziełem nowém, podległém przemianom i ulepszeniom, a dziełem oddawna przez czas uświęconém, które zajmowały chlubne miejsce wśród skarbców narodowych pomników, stało się tém samém częścią umysłowego dziedzictwa ojczyzny.

Takie są rozmaite żywioły, które domagały się uwzględnienia, rozmaite interesa które wypadało pogodzić, a które do pewnego stopnia pogodzone za pośrednictwem ustawy rozróżniającej prawa samego autora od praw spadkobierców, w tych zaś ostatnich jeszcze prawach, wykazującej różnicę między całkowitem używaniem przez pięćdziesiąt lat, a uiszczeniem pewnej tylko należytosci po upływie tego przeciągu czasu.

Kończąc wiadomość o nowém prawie, które kładzie koniec podnoszonym od wielu lat w tej mierze wątpliwościom i sporom, dodajemy ogólną niepokieszającą uwagę. Są epoki w historyi, płodne w arcydzieła i wówczas żadnemu z natchnionych mistrzów nie przychodzi przez myśl troszczyć się o handlową ich wartość; są inne epoki, gdzie niema ani arcydzieł ani mistrzów, i wtedy bladzi ich naśladowcy zaczynają frasować się o targowe chociaż uwiecznienie powszednich swoich utworów.

Teatr Châtelet przedstawia obecnie czarodziejską sztukę w trzydziestu obrazach pod tytułem: „*Kopciuszek*.” Cały Paryż bawi się nią zawzięcie, jak dziecko nową zabawką. Kto autorem tej szataneryi? Rzecz obojętna, nikt ani pyta, ani zważa na słowa: autorami rzeczywistymi są maszynista i dekorator, obaj genialni w swojej sztuce.

Pamiętacie pewno ową dziewczynę w bajce Perraulta, co to za każdym słowem wyrzucała z ust drogi kamień. Uradowana z początku tym wspaniałym darem guślarzycy, w końcu dziewczyna musiała przeklinać zdolność swoją. Bo cóż to za męka niemódcz wymówić najprostszego frazesu bez zawadzenia językiem o sznur brylantów lub topazów. Za każdym *ach!* opal, za każdym *kocham*, rubin!.. Dziękuję za łaskę. Nie była już kobietą ta biedna pasterka: dar bogini uczynił z niej jubilera. Szczera, bezinteresowna miłość pierzchła od niej na zawsze. Jakże pokochać dla jej pięknych oczu tę szkatułę kosztowności? Szafiry które wyrzucała, zaćmiewały jej modre źrenice, obok pereł gasła emalia jej zębów, obok koralii usta wydawały się blade. Rachowano jej słowa, taksowano jej szczebiotanie; każda

nuta jej piosneczki wyrażała się liczbą, jej milczenie było stratą a sen deficytem...

Bajarz dowcipnie wylicza niedogodności tej drogocennej fontanny. Piękny królewicz zważywszy że zdolność taka więcej warta niż największy posag, zaprowadził pasterkę do ojcowskiego domu i tam się z nią ożenił.

Pojał skarbiec w spódnicy nic więcej, tak francuzcy bajarze wytłumaczyli sławny *mezalians* królewicza żeniącego się z pasterką.

Owóż ta dziewczyna Perraulta, skamieniała, złotodajna, jest dokładnem wyobrażeniem cudownych bajek zmienionych w czarodziejskie widowiska. Obładowanych kosztownościami, nie można poznać w teatrze. Dekorator i maszynista na arabski język tłumacząc naiwne powiastki w których dowcip francuzki igra, z bretońskich pasterek czynią oni odaliski oblepione cekinami, obarczone dyamentami, głupie i wspaniałe, jako panie rozpościerające w słońcu ogony. Karetą z cytryny ciągnioną przez sześć myszy, stary szczur na koźle, suknia perkalikowa, kopciuszkowi Perraulta wystarcza. Królewicz za wspaniałego się uważa czestując ją pomarańczami. Teatr Chatelet z tych wszystkich cudów nie zrobiłby jednego obrazu: ostatnia tam figurantka świetniej ubrana niż Salomon w swęj chwale. Potrzebowano anfilady trzydziestu obrazów do roztoczenia tej prostej legendy, ciągnie się to bez końca, lśniąco, oslepiające: *zielona grotą, pałac świętojańskich robaczków, złote chmury, ognista góra, srebrna kula, lazurowe jezioro, drzewo zaczarowane* i t. d., pomijam dwadzieścia trzy obrazy.

Tak więc *kopciuszek*, skromny stróż domowego kominka, żyje teraz w Paryżu jak królowa Saba; blada owa gwiazdeczka, wyiskrzona jak kometa, wlecze za sobą długi ogon ognisty, cały systemat słońc elektrycznych bengalskich ogni.

Wchodząc do teatru Chatelet trzeba najpierw starać się zapomnieć kopciuszka Perrault'a i Cenerantoli Rossiniego; potem usiąść w fotelu jako wschodni palacz Chaszy-szu na dywanie. Powoli cała ta fantasmagorya meteryalna, zaczyna działać jak owa szatańska trutka. Wyobraźnia abdykuje w tym kraju cudów pośród wizyi mieniających się,

bezczynna krąży niby na wozie ciągnionym przez skrzydlate smoki.

Takie widowiska są dla ludzi Zachodu, czém narkotyki dla mieszkańców Wschodu: oglupia ich i denerwuje. Pokazując mamidła, wyrывa wieczorem z rzeczywistego życia zaaferowaną powszechność arcy poziomą: jestto opium teatralniejszego Paryża.

Nie ciekawicie zapewne powtórzenia znanéj bajki o kopciuszku: Matka miała trzy córki, dwie złe a jedną dobrą; złe puściła, dobrą biła: dalej wiecie. Wszystkim nam razem i każdemu z osobna, opowiadały to piastunki w swoim czasie. Legenda wszechnarodowa ukazuje się na paryskiej scenie takuteńka jak na Mazowszu: wszystko stare, tylko nowemi galonami oszyte. Same odgrzewane koncepta, same zwietrzałe konfekta. Mimika, właściwszém byłaby niż słowa towarzyszeniem téj plastyki; krzykliwe śpiewy nie przyjemnie płoszą wizye.

Przechadzka po zaczarowanym świecie, trwa pięć godzin. W ciągu tego czasu przebiegamy niebo i piekło, żeglujemy po drzemających stawach, przedzieramy się przez tropikowe zarośla, zaglądamy do haremowych skrytek i wulkanicznych kraterów.

Dwór miłości rozpoczyna widowisko. Wyobraźcie sobie bagdacki *Decameron*, ogród pełen wdzięków, kwiatów i wodotrysków, strzeżony przez dwóch Centaurów: oryginalnie wyglądają te konie zakończone popiersiami kirasyerów.

Po tém, ukazuje się *pałac świętojańskich robaczków*, podwodna grotta pełna stalaktytów dyamentowych, wśród których roją się *Luciole* czyli kobiety poprzebierane za świętojańskie robaczki. Skrzydła ich płomienne, to się rozwijają, to zwijają, przyrnatyczny wachlarz okrywa te żeńskie owady od stóp do głowy.

Nad tę klatkę czerwoną więcej jeszcze olśniewa *wyścig z pochodniami*, kopciuszek uciekł z balu. Cała fasada pałacu oświeca się migającym wewnątrz światłem. Król wysyła w pogoń za zbiegłą strażą z latarniami, tłum ich miga po ciemnym ogrodzie jak spadające gwiazdy w gorącą noc sierpniową. Ze strażą, wnet łączą się dworzany, lokaje, kucharze, kuchciki: wszystko to biega z góry na dół i znów pod górę, migając światłem wszechkolorowém.

Wyobraźcie sobie kalejdoskop złożony nie ze szkiełek ale z kolorowych ogni.

Przypomina to także owe noce chińskie opisywane przez podróżnych, kiedy mieszkańcy Niebieskiego państwa obchodzą święto *ognia*. Ciemnymi ulicami wlecze się sznur pochodni, lampy i świece błyszczą, pagody rysują się skrami na czarnej zasłonie nocy, jakby ktoś fosforem obrysy ich oznaczył, na całym nieboskłonie grad światełek i pękające race. Miasto rozżarzone, brzmiające jak wnętrze rozchukanego dzwonu, utopione w łunie, płomieniem nakrapiane, tu do salamandry, owdzie do chińskiego cienia podobne, urzeczywistnia potwory wymarzone przez miejscowych malarzy.

Górą ognistą zwie się piekielny widok skał stromych, wśród których krążą pracujące szatanki. Z wolna, *lazurowe jezioro* zalewa scenę i przezroczystym obrazem wulkaniczny krajobraz gasi. Grupy kobiet zeń wytryskają i deszcz złoty pada. W tej ulewie drżą kształty niewieście, zmieniają się postacie; jasne zwierciadło z którego toni wypływają, odstrzela ich falujące kibicie i zdaje się że płyną na raz z nieba i z wody.

Balet *tysiąc jeden księżniczek* z całego świata zebranych do przymierzania pantofla, jest świetnym przeglądem wielkiej armii niewieściej. Widać defilujące kobiety wszechkoloru i stroju, począwszy od Greczynki udrapowanej w tunice, aż do dzikiej która na plecach niesie swoje dziecko w trzcinę spowite, od bajadery indyjskiej obwieszonej dzwonekami, do amazonki Dohomey, z łukiem w ręku, kołczanem u boku, z puklerzem nad głową nakrytą hełmem z pod którego spadają długie włosy. W krzyżowym ogniu elektrycznym, cały ten tłum olśniewający tańczy; srebro pada, złoto kapie.... mieni się mora, atlas błyszczy, a z baskinek sypiące się blaszki dają pojęcie o walczących gwiazdach.

Następuje apoteoza. Żywe karyatydy podpierają złote palmy, kobiety fruwają pod sufitem, a na posadzce układają się z ciał niewieściech płaskorzeźby. Jestto tryumf materii, apoteoza ciała żłobionego w grupy, powiązanego w girlandy, uidealizowanego światłem, w którym pływa lubieżnie. Krótko mówiąc, jestto *pokusa świętego Antoniego* wystawiona na scenie na wielkie rozmiary.

Mahometanin patrzący na ten ostatni obraz, mniema być w siódmém niebie, które Mufti tak nam opisał:

„Skoro Turek zje śniadanie w raju, słudzy przyniosą półmisek gruszek, każda z tych gruszek rozłamana, wyda trzy panny różnego koloru. Te uściskają Turka, a kiedy on przez lat pięćdziesiąt niemi się nacieszy, Bóg pokaże mu oblicze swoje.”

Ow bazar niebiański stał się dziś rajem sztuki dramatycznej zmateryalizowanej przez maszynistów. Paryżanie turczęją żeby się w nim pomieścić; owe pięćdziesiąt lat rozkoszy, zastąpi im trzysta przedstawień. Allah jest wielki! a pan Hostein jego reżyserem.

— Opera komiczna przedstawia także bajkę: „*Sokoła*” Boccaccia z muzyką Karola Gounod.

Panowie Barbier i Carré, autorowie libreta, przemienili sokoła w gołębicę i jęj nazwę dali dwuaktowej operze. Zresztą, osnowa też sama co w *Decameronie*, tylko skarlona.

Szlachcic przez miłość zrujnowany, włoski patrycyusz który tak dumnie wygląda w rozwalinach zamku ze swym sokolem na pięści, w librecie jest dzieciakiem gruchającym wraz ze swą gołębicą. Ta gołębicą którą mógłby pokazywać na jarmarku, ma mnóstwo przyjemnych talentów i nosi bileciki, wskazuje godzinę, różową łapką pisze imię ukochanej Sylwii, do pana zwraca główkę żałośnie jęcząc, skoro jęj każą wskazać osobę najzakochańszą w zgromadzeniu.

Nic dziwnego, że tęg gołębicę pożąda niewdzięcznica serca pana Horacego owa Sylwija, która go zubożyła. Chcąc zrobić na złość rywalce posiadającej mądrą papugę, pragnie mieć mądrą gołębicę. Kochanek nie wiedząc o celu wizyty a niemając czém nakarmić pani Sylwii przybyłęj z dobrym apetytem, każe dla nięj na obiad upiec swojego ulubionego ptaka i towarzysza. Mniej okrutne libretto ocala gołębicę, a na jęj miejscu piecze mądrą papugę, która ucieklszy z klatki przypadkiem zawędrowała do kuchni.

W ten sposób wszystko się dobrze układa: Iania padła zamiast Ifigenii pod nosem Kalchasa, a wdzięczna Sylwija oddaje swą rękę Horacemu za spełnioną ofiarę.

Przemiana ptaka uczyniła nie zrozumiała ofiarę. Dawni strzelce namiętnie przywiązywali się do sokołów; zabić sokoła było wielkiem poświęceniem, zabić gołębia to zwyczajna gościnność.

Gounod, do téj mdléj bajeczki napisał ładną muzyczkę, chociaż w niej trudno poznać dramatyczny talent opery *Fausta* są ładne miejsca. Do tych należy *madrygał*, który Horacy Sylwii śpiewa: miłość tu po włosku się modli do ubóstwionéj. W drugim akcie, oświadczynom rozkosznie przygrywa orkiestra. Gounod celuje w takich rozbiorach psychologii muzycznej, nikt lepiej od niego nie śpiewa uczuć wewnętrznych, tłumionych. W tém główna wada, że opera choć niby komiczna, smutną jest od deski do deski: jednéj wesołej nuty nie ma. Gounod nie jest wesoły i téj tylko struny braknie jego bogatéj lirze. *Gołębicą* chociaż ciężką będzie jednak fruwała całe lato, bo ma dwa skrzydła: *madrygał* i śliczny *wstęp do przedmowy* małżeństwa.

Członek Instytutu Leon Halevy napisał dramat historyczny wierszem, pod tytułem „*Marcin Luter* czyli *Sejm w Worms*.” Po odczytaniu przyjęto sztukę do Teatru francuzkiego, wydała się utworem jeżeli nie genialnym, to znakomitym; ale po bliższém rozpatrzeniu, komitet teatru Moliéra cofnął się przed zuchwałym obrazem reformacyi.

Autor odebrał sztukę, nie próbował jéj przedstawić gdzieindziej i wydał w książce.

Czytaliśmy uważnie to naśladowanie Zacharyasza Wenera, a znając zwyczaje tutejszych teatrów, obyczaje i cenzurę paryzką, dziwiliśmy się, że komitet przyjął jednomyślnie dzieło będące okrzykiem buntu, aktem oskarżenia wystosowanym przeciw Rzymowi i Kościołowi jego. Najlepszy to dowód, jak silny musi być powab formy, jaka dramatyczność tego utworu.

W pierwszej scenie Spalatinus kanclerz elektora saskiego, otwiera bramy żeńskiego klasztoru ś. Augustyna, i w imieniu Lutra daje wolność zakonnicom.

Pożegnanie przełożonéj z murami w których postarzała, rozrzewniające i w swojej ortodoxyi potężne, przywodzi

na myśl świeżo wydane wzniosłe opowiadanie, czyli „*Rozmowę*,” zakonnicy z poetą, a mianowicie ustęp kiedy opisując opuszczenie swojego klasztoru, powiada:

„Nie wiesz boleści, gdy rzucać przychodzi
Dom, gdzie nas Chrystus matkom z rąk odbierze
I duchem swoim jak matka odrodzi
A potem jako swe jagnięta strzeże.
Nie wiesz, jak w domu takim pachną ściany,
Kwiatki się błyszczą, śpiewają organy“....

Mniszki wychodzą z klasztoru, jedna tylko Katarzyna Bora chce pozostać. Tu będzie żyła, pod cieniem opuszczonych ołtarzy; tu w przybytku Bożym zbezczeszczonym, na modlitwie życia dokona. Tutaj, pod tym dachem miała sny złote... tu, skoro przymknie powieki, objawia jej się potężny duch podbójca wcielony w archanioła, dla ludzi prorok, dla niej człowiek.

W czystych sercach każda ludzka namiętność się idealizuje: Katarzynie wydaje się że ją węzły niebiańskie krępują w tych murach, a ją ziemskie trzymają przemoce. W religijnym zachwycie słyszy tryumfalny pochód Lutra; ogarnia ją zapal męczeński, bieży do okna żeby lżyć nieprzyjaciela swojego Boga, odstępcę swojego kościoła... ale ledwo spojrzała, pada omdlała: w bezbożniku, w bluźniercy, w przeklętym Lutrze poznała archanioła snów swoich...

Akt drugi odbywa się w domu Marcina Lutra. Jestto prosty obraz życia, walki i pracy reformatora. Tu znów bolesna scena z *Uriel Acosta*, Gutzkova się powtarza, bledziej, ale dość jeszcze żywo. Węzły rodzinne usiłują sięgnąć z cierniowej drogi reformatora, pocałunkami osamotnić jego gorące pragnienia: straszna, to najstraszniejsza z wszystkich walka. Odwiedzają Lutra starzy rodzice, wspomnienia lat dziecinnych, urok młodości nieznającej goryczy, uwydatnia kolce apostołskiego życia, piołuny jego mąci i radzi rozbić tę czarę w imię szczęścia, w imię świętego spokoju. Ale pokusy pozostają bezsilne. Przeciwnie, chwilowe omdlenie silna dusza chce powetować, chce odkupić, chociażby stosem. Wezwany żeby się stawiał przed sejmem Worms, postanawia iść — a towarzyszom zaklinającym go żeby uciekał, odpowiada historycznemi słowy:

„Pójdę, gdybym miał w drodze spotkać tylu szatanów, ile dachówek na domach w Worms leży.“

To powiedziawszy, bierze kij, biblią i odchodzi wraz z wiernymi przyjaciółmi i Katarzyną, która spodziewa się nawrócić go w drodze.

Akt trzeci w Izbie sejmowej. Książęta, monarchowie, Karol V-ty, dostojnicy z najdalszych okolic przybywają na to posiedzenie. Przed zaczęciem obrad, Katarzyna spowiada się inkwizytorowi, który za warunek rozgrzeszenia jej z występnej skłonności, kładzie zgładzenie Lutra. Czemuż Katarzyna nie miałaby być Judytą tego Holofernesa. Przerażona kobieta z zamąconą duszą niespodzianie spotyka Lutra... Jemu wyjawia wszystko: miłość i wiara w jeden schodzą się płomień, reformator ocenia tę wielką duszę i prosi jej żeby została jego żoną, jego kapłanką.

Czwarty akt jest z historyi wyjętém posiedzeniem sejmowém: Luter się broni, odcina, atakuje przeciwników i sędziów. Bliski już stosu, dzięki podwójnemu głosowi Karola V-go, którego polityka podnieca ten ferment w cesarstwie, widzi swój wyrok śmierci zmieniony na wieczne wygnanie. W wygnaniu znajduje przytułek u elektora saskiego Fryderyka, w zamku Wartburg, gdzie poślubi Katarzynę. Lud wpada do sali sejmowej i okrzykuje Lutra, on, jako obietnicę przyszłości rzuca ludowi dwa czarowne słowa: „sprawiedliwość i swoboda.“

Z powyższej osnowy czytelnik widzi, że sztuka pana Halevy wychodzi ze zwykłych ram scenicznych. Koledzy akademicy utrzymują, iż ten utwór znacznie powiększył sławę literacką autora; twierdzą, że pan Halevy tém dziełem rozszerzył dziedzinę teatru francuzkiego a publiczność nauczyła szanować szczytne walki sumienia.

—Zaniechawszy przedstawienia „*Lutra*“, teatr francuzki zajął się wystawą „*Gringoir'a*“ komedyi Teodora Banville, która w tych dniach ukazała się na scenie. Banville pisarz subtelny i słuszenie ceniony, nie przedstawił pod nazwą Gringoir'a rzeczywistego poety z czasów Ludwika XII-go, ale nieśmiertelny typ stworzony przez sztukę i postawiony obok Ludwika XIgo przez wszechpotężną fantazyę Wiktora Hugo.

W *Notre Dame-de-Paris* Gringoire jest pierwowzorem poety odartego i zabloconego; chuda jego postać jest wciele-
niem głodu, pragnienia i niedostatku wspólnego przeszłym,
przyszłym i teraźniejszym luzakom literackim. Jestto pra-
dziad całego stada polnych koników Parnasu, żyjących po-
wietrzem i piosnką, którym pracujące mrowisko zwykle
odmawia ziarenka grochu, skoro mróz przycisnie.

Piotr Gringoire lepij nieco wygląda w historii. Nie
jestto już odartus wyrosły jak grzyb na gnoisku, ale syn
uczciwój rodziny mieszczańskiej, który wojował w Italii,
potém zapisał się do cechu *des Enfants sans-Soucis*, a w koń-
cu został wojskowym heroldem księcia Antoniego lota-
ryńskiego. W miejscu *rymarza* z *Notre Dam-de-Paris*,
płaconego po trzy soldy od strofy przez *dobre miasto* Paryż,
znajdujemy w dziejach Francyi poetę prawie urzędowego,
pensyonowanego przez Ludwika XIIgo; pod wpływem któ-
rego pisał *glupstwa* i *morale polityczne* (*Sotties et Moralités
politiques*).

Jako poeta, Gringoire ma wartość względną. Poezya
jego dydaktyczna uprzedzona z przysłów i zdań ludowych,
jest prozą nieudatnie rymowaną. Przez lupe jedynie można
tam gdzieniegdzie dostrzedz różeczkę która go odróżnia od
płaskich rymotworów ówczesnych. Wiek XV we Francyi
był co się zowie niewdzięcznym wiekiem pieniaczy i proku-
ratorów. Cechą jego niska finezya, wyraz ma szpetny i hy-
try jak wizerunki królów ówczesnych Karola V, Karola VII
i Ludwika XI podobnego do hyeny jak dwie krople wody.

Banville nie z historii ale z romansu Hugona wyczer-
pnął swojego Gringoir.

Pewnego wieczora Ludwik XI w dobrym humorze,
jé kolacyą w Tour, u kumy Simona. Wrog feudalizmu
lubił mieszczan za to, jak mawiał, że są z grubej mąki.
Korzystając z dobrego usposobienia monarchy, Simon prosi
króla żeby wydał za mąż swoją chrześną, a jego rzeczywi-
stą córkę Ludwikę. W tém trudność, że Ludwika męża
nie chce, gdyż ma w głowie jakiś ideał, który jeszcze z nie-
ba na ziemię nie zstąpił. Jakoż zawołana przed króla,
Ludwika odmawia z pogardą Oliviera, którego jéj monar-
cha na męża przedstawia.

Gdy się to dzieje przy kolacyi, z ulicy dolatują śmiechy: poeta Gringoir rozwesela lud conceptami. Ludwik XI każe go zawołać. Poeta błady i głodny wchodzi i klęka... ale nie przed królem, tylko przed pieczenią dymiącą na stole. Jestto wymowa żołądka — może przekonywająca, ale nie koniecznie zapalająca.

Cóżkolwiekby, okrutny maître Olivier upokorzony odmową Ludwika, mając potrzebę zjeść kogoś dla ulżenia sercu, każe poccie zaśpiewać *Balladę wisielców* wystosowaną przeciw okrucieństwu króla. Gringoire nie znający monarchy, śpiewa. Przy ostatniej strofie król daje się poznać i każe wieszać autora.

Skazany na śmierć Gringoire prosi jedynie żeby mu się pozwolono raz w życiu najeść jak należy. Podają mu półmiski, on zmiata, co dobrze usposabia króla: śmiać się zaczyna i mówi, że mu daruje życie, jeżeli w ciągu godziny potrafi wzruszyć serce i pozyskać rękę Ludwika (Reminiscencya Esmeraldy). Skoro godzina upłynie, będzie ożeniony albo powieszony.

Zostawszy sam na sam z dziewczyną, poeta staje się wymowny, wzniosły, zachwycający — i wygrywa sprawę. Ludwika uczuwa miłość dla *zapoznanego* wieszczu i prowadzi go do ołtarza.

Komedyjkę Banvilla można porównać do statuetki odczepionej od ogromnego portyku *Notre Dame-de-Paris*: przyjęto ją na scenie dobrze, może zbyt dobrze.

Od wychudłego i głodnego poety Gringoire'a, prostym spadkiem przechodzimy do Towarzystwa pomocy przyjaciół nauk, które w tych dniach odbywało swoje doroczne posiedzenie.

Tak zwane *Société de secours des amis des sciences* fundacyi barona Thénarda, jest niewątpliwie jedną z najpiękniejszych instytucyj francuzkich — tém godniejszą szacunku, że pierwszą. W tych ostatnich czasach pojawiły się zakłady dobroczynności lub przezorności, dla rozmaitych rzemiosł ręcznych i wyzwolonych, ale przed rokiem 1857 nie podobnego dla uczonych nie istniało, a oni może najwięcej

pomocy materyjalnej potrzebują. Jeżeli w zawodzie naukowym dojdzie który do zaszczytów i fortuny, to jest wyjątkiem: ogólna reguła uczonych, ubóstwo.

Iluż ludzi uczonych, nawet w bogatej Francyi, seigając jakąś mrzonkę, mrze z głodu! Zawiedziony w nadziejach wielkiego odkrycia, którego urzeczywistnieniu ostatni grosz poświęcił, apostoł wiedzy przecierpiawszy nie mało, częstokroć wpada w przepaść pociągając za sobą żonę i dzieci. Nie miał czasu myśleć o potrzebach rodziny, bo myślał o potrzebach ludzkości.

To tłumaczy nędzę, która zbyt często spotyka uczonych, jak również pozwala ocenić użyteczność instytucyi opiekuńczej, której zadaniem wspierać rodziny pozostałe w nędzy po śmierci światłego ojca.

Thenard pierwszy we Francyi uczuł potrzebę niesienia pomocy tego rodzaju niedoli. Sam wycierpiawszy wiele, rozumiał i współczuł mękę walczących ze sfinxem wiedzy ludzkiej i ze złą wolą ludzi, szczerze bolał nad licznym poczem zasłużonych mężów, którzy jeżeli tak wysoko jak on nie doszli, to jedynie dla tego że im brakowało jakiegoś przypadkowego dobrodziejstwa lub uśmiechu fortuny.

Powyższe względy skłoniły Thénarda do nakreślenia planu i ustaw Towarzystwa pomocy Przyjaciół Nauk. W roku 1857 założywszy Towarzystwo, sam obrotami jego kierował. Na głos jego poważny, dwa tysiące podpisów przybiegło od razu i złożyło dość znaczny kapitał. Po śmierci Thenarda zakład jego nie tylko nie upadł, ale rozszerzył się znacznie, gdyż prócz pięknego celu, uważany był przez wielu, jako najgodniejszy pomnik dla założyciela.

Towarzystwo pomocy Przyjaciół Nauk jest jednym z najszlachetniejszych objawów nowego ducha stowarzyszeń, które podnosząc miłosierdzie do godności braterstwa nadaje dziełom swoim cechę nie jałmużny, lecz *zwrotu* lub *nagrody*. Jakoż, obowiązkiem społeczności prostować omyłki ślepej fortuny, która zbyt często niestety, na nędzę skazuje najużyteczniejsze sługi oświaty. Miłosierdzie zbiorowe za dni naszych, nie rzuca jałmużny na wyciągniętą często natrętą rękę, ale wyszukuje ukrytego ubóstwa i Chrystusową miłością *uzyskuje* przyjęcie wsparcia od dusz hardych najgodniejszych współczucia, bo wolą głód mrzeć niż żebrać.

Członkowie Towarzystwa Pomocy, o którém mowa, pocieszają często niedole tém dotkliwsze, że nastąpiły nagle po zupełnie inném istnieniu, tém boleśniej że dla duszy wdowiej, że w niej tkwi pojęcie zasług, które społeczność przyjęła nie zapłaciwszy nawet kawałkiem chleba.

Chociaż dochody tej pięknej instytucyi są znaczne, coraz szersza opieka wymaga co rok składek nadzwyczajnych. Bez nich nie możnaby ulżyć wszystkim niedoli budzącej współczucie. Potroїła się liczba płaćących członków — ale to wszystko mało w obec rosnących potrzeb. Ażebym zapobiedz, od lat sześciu Towarzystwo urządza w Paryżu wykłady naukowe i literackie płatne. Konferencye te miewane przez najznakomitszych professorów przynoszą znaczny dochód. Tego roku było ich cztery w sali Konserwatorium Muzycznego, pod opieką cesarzowej. Obecność monarchini zwabiła więcej słuchaczy niż sala pomieścić mogła. Lekcyja z doświadczeniami profesora fizyki Jamin, należy do najświetniejszych jakie w Paryżu widziano. Professorowie tacy wznowią na szersze rozmiary i zastosują do ducha czasu, dawne wykłady naukowe *Atheneum*, które jednocześnie rozpowszechniały zamiłowanie nauki i zwiększały środki dobroczynnych zakładów.

Ze strony professorów prelekcyje takie przystępne dla większej publiczności, są prawdziwem poświęceniem. Trudno sobie wyobrazić, ile taki wykład wymaga przygotowań, ile zmudy czyni profesorom mającym swoje katedry. Dla młodych poczynających, takie konferencye są dobrą sposobnością popisania się z wiedzą i wymową; dla mających już ustaloną sławę, są zmęczeniem częstokroć szkodzącem uniwersyteckiemu wykładowi.

Dla tego w Paryżu podnoszą się już głosy żądające żeby państwo przeznaczyło pewne stałe wynagrodzenie dla professorów mających w Sorbonie lub konserwatorium, wykladać publicznie wieczorami. Niektórzy twierdzą, że zapłata godności profesora ubliża, a przecież nikt za złe nie bierze wynagrodzenia dawanego kaznodziejom mówiącym z ambony.

Prócz specyalnej missyi dobroczynnej, Towarzystwo Pomocy Przyjaciół Nauk ma inną: zadaniem jego zachęcać ludzi młodych oddających się nauce, żeby trochę więcej

o swojej przyszłości myśleli; żeby korzystali z kasy oszczędności i zabezpieczenia życia, i tym sposobem, bez zachodu ani straty czasu zabezpieczyli rodzinie przyszłość. *Aidé-toi et le Ciel t'aidera*. Propagandą tego narodowego przysłowia trudni się czynnie Towarzystwo, i w ten sposób może najwięcej zrobić dobrego.

Na posiedzeniu publiczném, sekretarz Towarzystwa czytał bilans następujący: Dochód w roku 1865 doszedł 54,976 franków, kapitał powiększony o 23,678 franków, na nowy rok ostatni wyobrażał 298,455 franków. Liczba członków płacących znacznie urosła: w ciągu roku przybyło ich dwustu pięćdziesięciu, a subskryptorów wieczystych czterdziestu pięciu.

Dzięki lepszemu stanowi finansów, Towarzystwo mogło rozdać w ciągu roku około trzydziestu tysięcy franków.

Uczucie delikatności wrodzone członkom Towarzystwa Przyjaciół Nauk, nie dozwala na publiczném zgromadzeniu wymieniać nazwisk rodzin poratowanych: ciekawy a obojętny ogół musi poprzestać na ogólném sprawozdaniu. Towarzystwo samo wie tylko kto dostał pieniądze i ile dostał. To godne uwagi ulepszenie dobrodziejstwa, wypływa także z *miłosierdzia podniesionego do godności braterstwa* o którym wspomnieliśmy na wstępie.

Od jednego z członków Towarzystwa mamy szczegóły o sześciu rodzinach, które tego roku otrzymały wsparcie.

Ś. p. Silbermann, konserwator Zbiorów w konserwatorium sztuki i rzemiosł, wynalazł *heliostat*, narzędzie astronomiczne noszące jego nazwę, z pomocą którego można oglądać bieg słońca i promienie jego znaczyć. Inne prace Silbermana nie mało się przyczyniły do postępu teorii mechanicznej ciepła, która jest jedną z wielkich odkryć naszego wieku. Zajmował się także porównaniem wag i miar. Umarł w sześćdziesiątym roku życia; wraz z nim przepadła mała pensya, jedyne utrzymanie rodziny. Wdowie starszej od niego i kalece, zostały na cały dochód pensyi retyretowej 145 franków: Towarzystwo wyznaczyło jej rocznej pensyi trzy tysiące franków.

Pani Laboullet, wdowa po dziekanie wydziału nauk strasburskiego, byłego dyrektora historii naturalnej w témże mieście, otrzymała dwa tysiące franków rocznego zasiłku.

Trzecią wdową pobierającą roczną pensją jest pani Kamilowa Dareste. Mąż jój był professorem matematyki. Niemając więcej nad 6000 franków pensyi (co znaczy mniej w Paryżu niż w Warszawie tyleż złotych) swoim kosztem wydał pięćdziesiąt rozpraw i memoriałów naukowych, które wszystkie otrzymały uznanie akademii. Nadto, zebrał ważną dla nauki bibliotekę i wychował starannie czterech synów. Po jego śmierci, wdowa została z tysiącem franków emerytalnej pensyi: Towarzystwo dodało jój trzy tysiące rocznego dochodu.

Pani Petit wdowa po byłym dyrektorze Obserwatorium w Tuluzie, dostała dwa tysiące. Mąż jój założyciel Obserwatorium tuluzńskiego, korrespondent akademii, autor *Astronomii popularnej*, która tu wyszła w dwóch tomach i do najlepszych dzieł w tym przedmiocie należy, znakomite usługi oddał krajowi.

Pani Bernard, której mąż był tu przez lat dziesięć professorem fizyki, otrzymała dwa tysiące rocznego zasiłku.

Szóstą pensją dano pani Gaillat, wdowie byłego poddyrektora szkoły gospodarczej w Grignon.

Tak więc, w przeciągu kilku miesięcy, dzięki staraniom Towarzystwa, sześć rodzin zacnych, ma być jeżeli nie zupełnie, to w znacznej części zabezpieczony, a społeczność jeżeli nie całkiem, to w części spłaciła dług swój tym, którym przemysł zawdzięcza bogactwo, sztuka wojenna swą potęgę, uciecha nawet swój urok i krasę.

Marszałek Vaillant prezydował dorocznemu posiedzeniu. W krótkiej przemówie podziękował dawcom za ofiary, które powiększyły kasę, profesorom za trud jaki podjęli podejmując się publicznych prelekcji, cesarzowej dziękował jako opiekunce.

Po marszałku sekretarz zabrał głos i odczytał pochwałę Gratioleta. Gratiolet padł także ofiarą nauki. Człowiek ten w największej biedzie napisał arcy pożyteczną pracę, p. t. *Traité d'anatomie Comparée du Corveau de l'homme et des singes* jedną z najznakomitszych książek anatomii filozoficznej, jakie wydał nasz wiek. Badanie mózgu i systemu nerwowego zwierząt wyższych, głównie zajmowało Gratioleta. Badania doprowadziły go do energicznego po-

twierdzenia wyższości pochodzenia człowieka: przeciągnął jasno linią dzielącą króla stworzenia od zwierząt, które wielu naturalistów za jego rodzinę uważa.

Pomiędzy ostatnimi pracami Gratioleta znakomite zajmują miejsce badania: *sur la physionomie et les mouvements d'expression*.

Powołany zbyt późno na katedrę zoologii fakultetu paryskiego, Gratiolet dwa lata tylko na niej pozostał. Umarł na apoplexyą w lutym 1865 roku.

Zakończył posiedzenie pan Riche professor szkoły aptekarskiej, rozprawa: *sur l'utilité des sciences spéculatives*. Założeniem téj rozprawy były następujące słowa Biota:

„Od pół wieku nauka napelnia świat cudami: żegluga parowa, telegraf elektryczny, oświetlenie gazem i światłem elektrycznem, promienie słoneczne użyte za narzędzia rysunku, druku i sztychu, sto innych cudów, przyjęły ludy okrzykiem podziwu.... ale tłum nie świadomy przyczyn, widział tylko rezultat nauki, i jak dziki, gotówby pewno ściąć drzewo żeby je z owoców oberwać. Mów-że mu o poprzednich naukach, o teoriach chemii i fizyki, które długo opracowywane, wydały nareszcie te cuda. Chwal mu matematyków, te opiekuncze konary wszystkich nauk; nie będzie słuchał: nie wie co poprzedziło, i wiedzieć nie chce.“

Po takim wstępie pan Riche badał pochod nauk, przebiegł ogólnie wielkie pole teoryi i zastosowania, i dowiódł, że początkiem odkryć praktycznych jest zwykle nauka spekulacyjna, oderwana: opuszczenie jój wstrzymałoby oświatę. „Każda niby oderwana prawda, ma w sobie zarodek zastosowania, podobnie jak każdy nasz żołnierz ma w tornistrze marszałkowską laskę.“

Posiedzenie dobroczyńców nauki, uwidomiło Paryżowi zacne Towarzystwo, o którego szlachetnych celach chcieliśmy dać wyobrażenie czytelnikom naszym.

Piśmiennictwo paryżkie straciło jednego z najświetniejszych swoich reprezentantów w osobie Merego. Byłto pisarz wszechstronny: zostawił sto tomów, poezyi, powieści, dramatów i komedyi. O téj ostatniej zdolności Merego starali-

śmy się dać pojęcie czytelnikom *Biblioteki*, uskuteczniając dla niej przekład „*Próby Matężństwa*“ arcy-dzieła dowcipu i elegancyi. *Héva, la Floride* i *Guerre de Nisam* stanowi poetyczną panoramę Indyi, którą najjaskrawszy z poetów Wiktor Hugo, śmiało podpisać może. Łatwością pisania Mery przypominał płodnych hiszpańskich dramaturgów: równego jemu improwizatora Francya nie posiada. Później pomówimy obszernie o dziełach tego pierworzędnego pisarza, które bez wyjątku amatorom przedziwności literatury pięknej polecamy.

— Guizot wydał „*Méditations sur l'état actuel de la religion chretienne*.“ Jestto dalszy ciąg jego przed dwoma laty wydanej pracy pod tytułem „*Méditations sur l'essence de la religion chrétienne*.“

